Nr. 3. Kraków, Marzec 1919. Rok XIII.

POLSKI SIEW



REDAKCYA I ADMINISTRACYA:
Kraków, plac Maryacki L. 2.
Telefon 483.

Prenumerata roczna 4 K. półrocznie 2 K.

Cena egzemplarza wynosi 40 halerzy.

TRESC NUMERU III-go:

Sejm.

Obraduje w Warszawie nasz sejm. Czy zdajemy sobie sprawę należycie z tego, jak wielki to jest wypadek? Już nie potrzebujemy wysyłać naszych posłów do Wiednia, do Berlina i do Piotrogrodu, aby tam ustanawiali dla nas prawa, jakie się wylęgły w głowach niemieckich lub moskiewskich panów. My dzisiaj wolni i mamy swój własny sejm, jako najwyższe ciało, mające stanowić dla Polaków prawa. A jakże pięknie ten sejm zaczął swe obrady! Porównajmy się tylko z Moskalami, gdzie także w zeszłym roku odbyły się wybory, lecz gdy te wybory poszły nie po myśli socyalistów i bolszewików, bolszewicy rozpędzili posłów, którzy się zebrali na narady do stolicy. U nas inaczej. Tu wynik wyborów pokazał, że ziemia polska i dom polski nie są podatnem podłożem dla czerwonych, niszczycielskich żywiołów. Socyaliści przegrali u nas, stokroć sromotniej jednak, niż w Rosyi. Lecz obrady się zaczęły i odbywają się i nikt nie odważyłby się u nas targnąć na wolność tego ciała ustawodawczego. Bo u nas jeszcze, Bogu dzięki, zdrowy duch narodowy jest w ogromnej większo-

ści. Pokazaliśmy, że jesteśmy wyżsi od Rosyi kulturą. Tam panuje dzisiaj socyalista-żyd-bolszewik Trocki, tam bezgłowie i anarchia, a u nas sejm, u nas coraz większy ład wewnątrz i porządek. Da Bóg, to codzień będzie lepiej. Zaś za to ,co u nas jest, co już posiadamy, Bogu stokrotne niech będą dzięki.

Zebrał się i obraduje w Warszawie sejm. Jakże dobrze, pięknie i rozumnie się stało, że sejm ten naprzód dnia 9. lutego poszedł uroczyście do kościoła, do katedry i tam Mszy św. wysłuchał. Tak czynili dawni przodkowie nasi, tak czynić winien sejm chrześcijański i katolicki, sejm polski. Znak to, że zasady chrześcijańskie będą panować w tym sejmie, chcemy przynajmniej wierzyć, że tak będzie i że taki był cel owego pierwszego uroczystego zebrania się posłów w świątyni. Oby to Bóg dał, aby z tego sejmu nigdy nie wyszła jakaś ustawa, przeciwna chrześcijaństwu.

A potem? Potem po południu w niedzielę odbyło się uroczyste poświęcenie sali sejmowej, tej sali, w której posłowie obradują. To znowu czyn piękny, czyn katolicki, który należy podkreślić i potomności przekazać.

Wreszcie nie można przemilczeć i tego, że piewsza mowa ze strony posłów, mowa wypowiedziana przez najstarszego wiekiem posła księcia Franciszka Radziwiłła, wspomniała o wierze katolickiej i Ojcu świętym i wyraziła zaufanie i cześć dla Papieża, stróża i orędownika wiary świętej. To dobrze, że tak się stało. To powinno było się stać, mimo, że słowa te niewsmak były socyalistom, tym, na których nasz lud oddawał swe głosy w czasie wyborów, nasz lud wierzący i katolicki — oto masz, ludu polski, pierwszą próbkę i pierwszy skutek twojej nierozwagi i krótkowidztwa. Olbrzymia jednak większość sejmu przyjęła chyba słowa wypowiedziane tak, jak je przyjmuje dobry katolik i dlatego dobrze, że takie słowa brzmiały w pierwszej mowie poselskiej pierwszego wolnego sejmu po latach upadku i niewoli. Bogu Najwyższemu niech za to będą dzięki.

Kto chce czego dokazać a widzi te trudno,
Niech tylko wdzieje na się postawę obłudną.

X. Adam Naruszewicz.

Po wyborach.

Czytelnicy nasi wysłuchają kilka uwag, które mi się nasunęły przy sposobności wyborów do sejmu. Sądzę, że to, o czem tu wspomnę, zauważyli wszyscy.

I tak — przedewszystkiem wybory te rozdrażniły wszystkich, rozjuszyły jednych przeciwko drugim. Wprowadziły one rozstrój do parafii, wojnę do gmin i niesnaski do domów. Jedni zwracali się z wyzwiskami i nienawiścią do drugich, sąsiad docinał sąsiadowi, mąż poróżnił się z żoną, rodzice poważnili się z dziećmi. Przedtem był spokój, było cicho. Ale oto weszli do wsi niesumienni agitatorzy, nakrzyczeli się na wiecu i tyle obietnic porobili, że chłop nieuświadomiony wziął to za prawdę i nietylko sam głosował na nich, na socyalistów, ale nawet drugich zmuszał do tego samego. Kto się zaś opierał, na tego bij zabij wszyscy. Ileż to nakrzyczano się na zacnych i uczciwych nieraz gospodarzy lub robotników, ileż wyzwisk, ileż szykan ucierpiały kobiety, co chciały iść za sumieniem chrześcijańskiem i nie chciały dać głosu czerwonym uwodzicielom! Ileż napyskowano się na księży! Mój Boże, czyż już niema księdza dobrego między wami, moi kochani? Czyż wy nie pamiętacie tego czasu, kiedy wszyscy was opuścili, kiedy posłowie wasi pokryli się po mysich dziurach, kiedy socyalisty nie znalazłby człowiek na lekarstwo, a został u was wśród wojennej zawieruchy jeden tylko ksiądz i otaczał was opieką? Przypomnijcie sobie to słynne K. B. K. i zasługę kapłanów, co dokładali wszelkich starań, aby komitet ten zasilić czy groszem, czy płodami ziemi. Ileż tysięcy, ile setek tysięcy ludzi to K. B. K. uratowało? Kiedy socyaliści pokryli się po norach, albo też lizali łapę wiedeńskiego i berlińskiego rządu, nie dbając nic a nic o lud, to któż jeździł do Czech i do Styryi, gdzie były baraki w Choceniu i w Libnicy? Kto? czy socyalista? Nie, ani jeden socyalista tam się nie pokazał. Jeździli tam tylko księża i zastawiali się o biednych rodaków. Gdybym zaczął wyliczać, co dla was dobrego kapłani zrobili, brakłoby papieru. Sam znam takich proboszczów, co tysiące dawali na cele dobroczynne, ale nie chcieli w skromności swojej, aby ich nazwisko było ogłoszone przed światem. Sądziliśmy, że lud ma dobre i wdzięczne serce, że o tem będzie pamiętał i że okaże za to wdzięczność. Prawda, byli i są między ludem dobrzy, co nie zapomnieli i w czasie wyborów, czem dla nich jest ksiądz — ale niestety! iluż to znalazło się w tych dniach chłopów i kobiet, co hańbowali księdzu tak, że najgorszy łotr w ten sposób nie potrafiłby tego uczynić. Gdzie u nich wdzięczność, gdzie jaki szacunek dla su-

kni kapłańskiej! Wystarczyło, by przyplątał się do wsi rzezimieszek z za świata, którego nikt nigdy nie widział — i już wszyscy za nim poszli przeciw księdzu. Bo ten rzezimieszek naobiecywał wszystkim, że to a to będzie wasze, te lasy będą wasze, te grunta dworskie i te pola plebańskie będą wasze — i wszyscy uwierzyli, nie pamiętając o tem, że obiecanki cacanki, a głupiemu radość. Wszyscy też z tych uwiedzionych i ziemi chciwych głosowali na socyalistów, albo na Stapińszczyków, którzy niczem od socyalistów się nie różnią.

Rozmawiałem z jedną panienką, która niedawno przeszła z żydowskiej wiary na naszą i przyjęła chrzest. Otóż mówiła mi ona, że ją to ogromnie dziwi, jak katolicy mogą tak zohydzać swoich księży. U żydów nikt na rabina nic złego nie powie, bo nie wolno, bo kary są za to. Mnie to dziwi, że to u katolików tak jest, ja tego nie mogę pojąć. Patrzę nieraz na takie osoby, co codziennie idą do Komuniiśw., a skoro wyjdą z kościoła obmawiają księży i wygadują na nich niestworzone rzeczy. Jak to jest możliwe, proszę mi to wyjaśnić?

Tak mnie się pytała ta chrześcianka. A mnie się ścisnęło serce — i nie umiałem przez chwilę dać na to odpowiedzi. Powiedziałem jej wreszcie z bólem: Niech się pani nie gorszy, pani przecie wie o tem, że są ludzie tacy i tacy, że znajdzie się tu i ówdzie ksiądz zły, ale że są także tysiące katolików podłych i złych, nawet między takimi, co do Stołu Pańskiego przystępują codziennie. Nie trzeba się tem gorszyć, ja pani mówię, że pani jeszcze gorsze rzeczy zobaczy, ale niech pani patrzy na to, co jest dobre u nas i na tych, co są dobrzy. Niech pani nie spogląda na przewrotne dewotki i na przewrotnych katolików, bo wiara nie winna temu, że ludzie źli i podli.

I odszedłem smutny. Ale mi ciągle tłucze się po głowie ten głos zgorszonej konwertytki, że u żydów inny jest stosunek do rabinów, niż u katolików stosunek ich do księdza.

A tym, co się na księdza rzucali w czasie wyborów, co oszczerstwa na niego miotali, co szydzili z niego i co go hańbili przed światem i co głosowali na socyalistów lub Stapińszczyków, tym, co chciwi są plebańskich gruntów, tyle oto mówię:

Chodźcie wszyscy, jakeście są razem, wytnijcie sobie graniczne pale i idźcie na zagony plebańskie — i dzielcie się tem i pobijcie się tam na tych zagonach przy dzieleniu, chwyćcie się tam za gardła i najedzcie się tej ziemi. Ksiądz się bez niej i tak obejdzie, potrafi bez niej wyżyć, są jeszcze dobrzy ludzie, co o nim nie zapomną. Niech wam ta ziemia księża służy na zdrowie. — Ale to wam powiadam, że i tak się jej nie napasiecie, że i tak raju na ziemi mieć nie będziecie, że i tak równości na świecie nie będzie — a przyjdzie czas, że tego kapłana, któregoście potępiali, potrzebować będziecie, jeśli nie wcześniej, to przynajmniej na łożu śmierci. Bez niego wy się obejść nie możecie, a jak mu wynagrodzicie krzywdę, którą mu wyrządziliście na sławie? I co on wam wtenczas na to odpowie?

Podsłuchane.

Kanty i Andrzej wracali z jarmarku z Kalwaryi. Gawędząc ze sobą, zgadali się też i o wyborach. I tak rozmawiali:

Jędrzej: Na który numer głosowaliście?

Kanty: Na piątkę.

Jędrzej: No to głosowaliście na socyalistów!

Kanty: A jużci podobno.

Jędrzej: Jakże to tak mogliście zrobić? — przecież wy jesteście katolik.

Kanty: A czy to socyaliści nie katolicy.

Jędrzej: Naturalnie, że nie. Katolik wierzy, że jest piekło, bo tak naucza Chrystus, a socyaliści mówią, że piekła niema, tylko, że księża straszą piekłem. Katolik wierzy, że człowieka stworzył Pan Bóg, a socyaliści mówią, że człowiek urodził się z małpy, a jak zmądrzała ta małpa, to się nazywa człowiekiem.

Kanty: To nie prawda. Ten co mówił na zgromadzeniu w zeszłą niedzielę, powiedział, że socyaliści są też katolicy i że sam Chrystus był socyalistą.

Jędrzej: Tak, tak. Kupiec nigdy swego towaru nie gani, tylko chwali — ale ja gdy kupuję konia, krowę, portki, to nie słucham nawet tego, co mi tam mówi sprzedający, tylko koniowi zaglądam do pyska, patrzę na nogi, próbuję ciągu i tak dalej. A wy jak kupujecie?

Kanty. Ja też tak.

Jędrzej. A widzicie. Taki agitator może mówić, co chce, ale mądry na słowo nie wierzy. Ja czytałem Latarnię socyalistów i inne pisma, to dobrze wiem, że lepszy byłby z dyabła kościelny, niż katolik ze socyalisty.

Kanty. Dyć Chrystus był też socyalistą i czerwoną chorągiew miał.

Jędrzej. To jest bluźnierstwo. Chrystus każe się miłować, a socyaliści jednego przeciw drugiemu podburzają. Chrystus nakazuje oddawać Bogu, co jest Boskiego, a socyaliści z Pana Boga szydzą. Chrystus powiedział apostołom, kto wami gardzi, mną gardzi, a przecież socyaliści księży prześladują, a nawet zabijają.

Kanty. Ja jeszcze nie słyszał, żeby którego księdza zabili.

Jędrzej: Przecież dopiero co w tym roku zamordowali w Ostrawie księdza Wajsmana za to,

że ich upomniał. A w Królestwie Polskiem zabili też kilku.

Kanty: Ale socyaliści chcą ludzi zrównać, żeby jeden nie miał dużo, a drugi mało.

Jędrzej: Ja już to słyszę od trzydziestu lat, że socyaliści chcą ludzi zrównać, ale wszystko dotąd skończyło się na obietnicy.

Kanty: Bo dotąd socyalistów było mało. Ale jak ich będzie dużo, to wtedy tak pewnie zrobią.

Jędrzej: Jakże ludzi zrównają. Czy jednemu utną głowę, a drugiemu nadstawią? albo czy zrobią tak, żeby wszyscy byli babami, albo wszyscy chłopami.

Kanty: Nie kpijcie, bo nie o to chodzi. Podzielą grunta i majątki równo.

Jędrzej: Znaliście wy Zagórkę? On miał ośm morgów, a dziś ma tylko dwa. Resztę przepił. On tylko czeka, rychło mu znowu socyaliści przydzielą, to znowu będzie miał za co pić. W mieście jest dużo ludzi, co nie mają gruntu. Jak zaczną dzielić, to zdaje się, że i wy będziecie musieli co z waszych 7 morgów puścić.

Kanty: Chyba może nie. Ta chodzi o grunta księży i panów.

Jędrzej: Co do gruntów księży, to oni nie mają gruntów wcale. Jak ksiądz umrze, to grunt zostaje w parafii. Zresztą plebański grunt można podzielić, ale za to parafia musi księdza utrzymywać. Czy to będzie lepiej, tego ja nie wiem.

Kanty: No, ale grunta pańskie?

Jędrzej: Pańskie z pewnością do podziału przyjdą, ale tego domagają się nie sami socyaliści, ale także i chrześcijańscy posłowie.

Kanty: Tego ja nie słyszał.

Jędrzej: Ale ja słyszał i wiem. Ale powiedzcie mi czemu tak żydzi socyalistów popierają? Przecie żydzi mają fabryki, handle, a nawojnie porobili ciężkie miliony. Wypadałoby, żeby i oni z nami podzielili.

Kanty: I na nich przyjdzie kolej.

Jędrzej: Jakże przyjdzie na nich kolej, kiedy ich socyaliści bronią i w opiekę biorą. Ich bogactwo nie chcą naruszyć, tylko pańskie grunta do podziału przeznaczają.

Kanty: Ktoby ta z żydami co poradził.

Jędrzej: No widzicie! Za socyalistą stoi żyd-pijawka. Głosujcie jeno na socyalistów, a przystawicie sobie sami pijawki do swej krwi.

Jeszcze o socyalizmie i socyalistach.

Pisałem w poprzednim artykule, że ja, ksiądz katolicki, jeżeli chcę być w zgodzie ze swoją wiarą, nie mogę należeć do socyalistów i że taksamo nie powinien do nich należeć ani na nich głosować żaden katolik. Przyznać mi to musi każdy nieuprzedzony, kto zna dobrze program socyalistyczny, kto zna socyalizm naukowy i kto jest należycie uświadomiony o naszej katolickiej religii.

Są to rzeczy tak jasne i proste, że mi je musi potwierdzić każdy wykształcony i myślący socyalista. Oni też z tem się nie tają w dziełach swoich, oni o tem mówią i piszą po książkach, niestety niedostępnych dla umysłu robotników niewykształconych. Tam oni odkrywają przyłbicę i wykładają sprawę na ławę. Nie możemy też się łudzić co do tego, z kim mamy do czynienia.

My księża zarzucamy socyalizmowi niereligijność, owszem antyreligijność. Mówiłem o tem w poprzednim artykule. Powiedziałem tam, że istnieje przepaść między religią Chrystusa a socyalizmem dlatego, bo religia chrześcijańska musi być z istoty swej rzeczą publiczną, gdy tymczasem socyalizm spycha ją do rzędu rzeczy prywatnej t. j. takiej, która nie powinna się mieszać ani do państwa ani do ustawodawstwa ani do szkolnictwa ani do małżeństwa itd. Kto religię naszą chce uczynić taką rzeczą prywatną, jak do tego dąży socyalizm, tem dąży do zniszczenia samej religii i musi być naszym wrogiem. Ta „rzecz prywatna“ zresztą jest na to, aby nie razić ludzi ostrem postawieniem sprawy. Z zasady tej, że religia powinna być sprawą prywatną tylko, osobistą tylko, wynikają potworne rzeczy. I tak wynika stąd, że państwo winno być bezwyznaniowe, ateistyczne, że państwo nie powinno się religią zupełnie zajmować, że religii nie powinno popierać i nie powinno mieszać jej zupełnie do swoich ustaw. Chrześcijaństwo niech sobie idzie swoją drogą, a prawa państwowe swoją. W związku z tem jest to, że kościoły uznane będą przez państwo za sale zebrań, gdzie można krzyczeć „hańba“, jak to miało miejsce w kilku miejscach, gdzie można wyprawiać hałasy i wrzaski. Religia jest sprawą prywatną to znaczy, że szkoła winna być bezwyznaniowa, że trzeba znieść naukę religii. I tak tę sprawę rozumieli socyaliści początkowo, kiedy ów obydny rząd lubelski w odezwie swej zapowiadał „szkołę świecką“. Dopiero, gdy zobaczyli, że nasz chłop polski i katolicki na to nie zezwoli, dopiero potracili głowy i spuścili trochę z tonu, zapowiadając, że nauka religii odbywać się będzie, ale nadobowiązkowo, że jak ojciec chrześcijanin nie będzie chciał dziecka swego posyłać na religię, to dziecko religii katolickiej uczyć się nie będzie. A ja powiadam, że to jest obłuda socyalistów, która właśnie niczego innego nie dowodzi, jak tylko ich niereligijności, ich antyreligijności. Gdyby oni naprawdę chcieli Boga i chcieli chrześcijańskiej religii, gdyby oni naprawdę nie walczyli z naszą religią, jak oni to mówią obłudnie nawiecach, to oniby przecież powinni chcieć, aby każde dziecko religii swojej się uczyć musiało i aby każdy ojciec socyalista czy

nie socyalista dzieci swe na religię posyłał — naprzód dlatego, bo to przecie wielkie dobro i wielkie dobrodziejstwo, to wielkie dobro! A oni chcą dziecku socyalisty odebrać to dobro, odebrać to dobrodziejstwo dlatego, że ojciec jest ateusz i ojciec sobie tego nie życzy. Dlaczego dziecko ma cierpieć za winy ojca? Jeśli już ty socyalisto, tak jesteś nienawiścią przejęty do wszystkiego, co chrześcijańskie, że ani u dziecka swego religii nie chcesz znieść, to sobie wystąp z Kościoła, nikt cię nie trzyma w Kościele, przejdź sobie na wiarę luterską, kalwińską, żydowską, na pogaństwo czy bezwyznaniowość nareszcie, to ci wolno. Ale póki jesteś chrześcijaninem, to jest wprost potworne, abyś ty mógł dziecku swemu odmówić tego, co jest najświętsze i najwyższe t. j. nauki wiary. Ale jest jeszcze drugi powód, dlaczego nauka religii musi być obowiązkową dla wszystkich. Oto dlatego, że religia katolicka jest dziś religią całego olbrzymiego ludu polskiego, całego prawie narodu polskiego, że więc z tą religią każdy się na każdym kroku styka. Powinien ją więc każdy poznać i to, dobrze poznać tak, jak powinien umieć czytać i pisać i rachować! Powinien ją poznać tak, jak powinien znać geografię swego kraju, historyę narodu swego i jeszcze inne przedmioty. Datego powinien jej się każdy uczyć na ławie szkolnej, pownien się jej uczyć z obowiązku. Tak więc zasada nauki religii nadobowiązkowej jest ohydna i jest tylko zamaskowaną walką ze samą religią.

Ale zasada socyalistyczna, że religia jest rzeczą prywatną, pociąga za sobą i inne jeszcze następstwa. I tak według socyalistów małżeństwo nie jest sakramentem, ale kontraktem cywilnym na jakiś czas, dopóki się jeden drugiemu nie sprzykrzy. Może wam kto powie w obłudzie, że to nie prawda? A nie pamiętacie to dobrze, jak w parlamencie austryackim socyaliści chcieli zaprowadzić małżeństwa cywilne I jak oni poważą się twierdzić, że oni z religią nie walczą?

Jest jeszcze jedna zasada socyalistyczna zła i zgubna, a mianowicie: chcą oni znieść własność prywatną, a zaprowadzić tak zwany komunizm. To znaczy, że nikt nie będzie mógł nic posiadać, a wszystko będzie własnością państwa. Oni tego chcą naprawdę, chce tego socyalizm i uczeni socyaliści twierdzą, że żaden socyalista nie może wykreślić tego ze swego programu. Więc jakże odważyli się niedawno nasi socyaliści napisać broszurkę, w której piszą, że to nieprawda, jakoby oni chcieli chłopom odebrać grunta i że oni chcą odebrać grunta tylko wielkim właścicielom i księżom. Ale to jest ich obłuda, jest fałsz, to oni czują, że z hasłem komunizmu do wsi nie mogliby dojść, boby ich nasz chłop porąbał na ćwiartki. Dlatego na razie mówią, że chcą i na razie rzeczywiście chcą znieść własność wielką i średnią. Ale potem pójdą dalej, pójdą na wieś, chłopa biedniejszego szczuć będą na bogatszego, tego co nic niema szczuć będą na tego, co ma odrobinę ziemi i ostatecznie chcą zaprowadzić, aby wszystko było wspólne, aby nikt swego nic posiadał. Przecież oni głoszą publicznie, że oni komunizmu nigdy się nie wyrzekną, że ich celem zawsze jest i musi być zniesienie własności prywatnej! Więc z jaką bezczelnością mogą tak łgać i kłamać w wymienionym pisemku? Ach, tak, bo im wolno kłamać.

I dlatego Kościół potępił socyalizm i dlatego nasi Biskupi w liście ostatnim potępili socyalizm. Dlatego tylko, że socyalizm jest wrogiem naszej religii. To był powód pierwszy i najważniejszy wspomnianego listu Biskupiego. Przecież chyba Biskupom wolno bronić wiary i wolno przestrzedz społeczeństwo społeczeństwo przed niebezpieczeństwami? Dlaczegóż więc socyaliści rzucili się na nich za to? Dlaczego? To biskupowi nie wolno bronić swej religii? to tak wygląda ogłaszana wolność socyalistyczna?

A, bo to nieprawda — powie mi kto ze socyalistów — to nieprawda, żebym ja walczył z religią, ja jestem także katolik, ja także wierzę, po co mi mają Biskupi zarzucać, że ja niewierny i po co mnie potępiają!

Ja ci na to odpowiem — ale chciej mnie zrozumieć i daj mi przyjść do słowa — że Biskupi przecież nie potępili w swoim liście ciebie, ani nie potępili tych socyalistów, co wierzą i są podobni tobie. Oni nie potępili osób, potępili tylko naukę twoją, naukę socyalistyczną, której ty dobrze nie znasz i nie wiesz, jak straszliwe skutki pociąga za sobą. A wiesz ty, panie socyalisto, kto wnet po Biskupach potępił także socyalizm, potępił nawet socyalistów? wiesz kto? Oto nie kto inny, jak Aleksander Świętochowski, którego chyba trudno posądzić o klerykalizm, bo on przecie zawsze z księżmi wojował. A potępił on i zdruzgotał na miazgę i udowodnił, że socyalizm jest ruchem antyspołecznym i że bolszewizm to tylko prosta konsekwencya socyalizmu. Cóż więc dziwnego, że Biskupi potępili twoją naukę i twój program socyalistyczny? A potem potępili oni jeszcze niecną robotę twoich socyalistycznych przywódców, tych, którzy ciągle ćmią przed tobą, że oni z Bogiem nie walczą i tak kłamstwami cię pociągają ku sobie. Listem swym chcieli oni dobrym katolikom otworzyć oczy na to, czem jest socyalizm — i ty, jeśli jesteś dobry katolik, to nigdy na socyalizm zgodzić się nie powinieneś, ani na socyalistę głosować ci nie było wolno. Czegóż ty się oburzasz na ich list, kiedy przecie Biskupi nawołują w nim panów, by się poddali słusznej i sprawiedliwej reformie agrarnej a sami oświadczają, że nie robią wyjątków co do dóbr kościelnych. Reforma tedy agrarna przyjść musi i przyjdzie. Ale to będzie zrobione tak, aby była

uszanowana zasada własności prywatnej. Chrześcijaństwo zasad swoich bronić musi i bronić będzie aż do końca. Jeśli ty jesteś chrześcijanin i katolik, toś powinien w tej walce o zasady wziąć udział po stronie katolicyzmu. Inaczej jesteś zaprzańcem.

A przecie socyaliści na wiecach nawet Pismo św. przytaczają, o Bogu mówią i o Chrystusie Panu, mówią, że nie walczą z religią. — Na to ci odpowiem: Oni to robią obłudnie, a robią dlatego, że chcą otumanić ludzi nieoświeconych, którzy nie umieją się połapać o sytuacyi. Oni gotowi nawet „pobożnymi“ się zrobić, byle handel szedł, ale oni kłamią, kłamią niegodziwie, bo jakże można religię pogodzić z tem wszystkiem, co powiedzieliśmy wyżej? Oni obłudnie kłamią, bo im chodzi o zdobycie głosów wyborczych. Jeśli ty, dobry katoliku chcesz poznać, co myślą socyaliści, weź sobie do rąk ich broszurki, jakie oni wydają. Dowodzą ci w nich, że msza św. to nie jest Boska rzecz, ale że ją wymyślili księża (!?), że człowiek pochodzi od zwierzęcia i niema duszy itp. I tacy ludzie mają czoło przytaczać na wiecach Pismo św.? To bluźnierstwo, to nikczemność! Oni mówią, że nie walczą z religią — a patrzcie na Niemcy. Tam socyaliści na pierwszy krok wyrzucili już religię ze szkoły. Dopiero, gdy wrzawa się podniosła w kraju u katolików i u wierzących protestantów, ustąpili na razie, ale zapowiedzieli najostrzejszą walkę religijną. A przecież socyaliści niemieccy i socyaliści nasi, to są bracia i przyjaciele! I oni mówią, że oni nie walczą z religią!

Oni trzymają z żydami, łączą się z milionerami, kapitalistami żydowskimi. A przecie żyd, to największy wróg religii chrześcijańskiej — i socyalizm tym właśnie duchem nienawiści ku religii jest przejęty dlatego, że jest przeniknięty duchem żydowskim.

Oni mówią, że oni nie walczą z religią i szanują świętości religijne. A kto potargał i podeptał sztandary Matki Boskiej Częstochowskiej w Radomiu i gdzieindziej? Socyaliści. I oni mówią, że oni są religijni? A kto zabił kilku już księży dotąd, dlatego, że bronili religii? Kto? Znowu oni, socyaliści.

I oto teraz macie ich, jak na dłoni. Macie ich obłudną i krecią robotę — i czyż wy nie będziecie walczyć z nimi? Będziecie i musicie. Musicie walczyć z nimi zwłaszcza wy, robotnicy chrześcijańscy, musicie się skupiać pod swoim robotniczym sztandarem, który jest jednak zarazem sztandarem Chrystusa. Agitujcie za swoją organizacyą! Powiększajcie ją, pociągajcie do niej swych braci i pomnażajcie jej szeregi, bo jeżeli kto, to ona zwalczy socyalizm bezwyznaniowy, żydowski.

(s).

Ze szkoły.

Tak się złożyło, że musiałem objąć naukę religii w szkole, której młodzież cieszyła się nie bardzo dobrą sławą. Była to jednoklasowa wiejska szkółka. Budynek szkolny wcale przyzwoity, pięknie odbijał swą czystością, schludnością od zaniedbanego otoczenia prawdziwie kurnych i brudnych chałup. Ale dzieci! Kiedy sobie je dziś — po kilku latach — przypomnę, toby się człowiek śmiał, gdyby raczej płakać nie wypadało! Jakżeż te robaczki nie wyglądały nieraz, zwłaszcza w zimie! Oto jeden chłopiec z pierwszej klasy — pamiętam go doskonale, jakbym patrzył nie niego— spina się biedactwo po kamiennych stopniach (a było ich coś ze sześć) do szkoły; co się wzniesie na wyższy, to zaraz „bęc“ i już na dole; więc próbuje i przy cudzej pomocy (bywałem nią i ja) wreszcie zmęczony, ale tryumfujący, że przeszkodę pokonał, wchodzi do klasy. Pytam go:—„A cóżeśto, Franek, dziś tak długo przed drzwiami robił?“. Chłopiec zakłopotany milczy; wyręczają go koledzy starsi: „bo on, proszę księdza ma tatusiowe buty i nie może ich udźwignąć““. Patrzę, rzeczywiście, buty wcale nie na chłopca, przypominają sławne owe siedmiomilowe buty Waligóry, czy Wyrwidęba (o których dotąd po wsiach gadki chodzą); wyobrażam sobie, ile się to biedny chłopczyna musiał napracować, zanim taką machinę przywlókł do szkoły! A oto znów inny wchodzi, w tatusiowy znów kabat, do kostek mu sięgający, ubrany, z rękawami zawiniętymi, z których skostniałe od zimna wyglądają rączęta; biedactwo rzuciło prawie książki na ławę i nie wie, co robić: trzebaby się do czegoś zabrać, a tu przemarznięte uszy pieką, jakby je ogniem przypalał, — palce zgrabiałe odmawiają posłuszeństwa i chłopiec — w płacz. Oczywiście, ulżyło mu; odtajał z mrozu, zagrzał się i zasiadł w ławce. I tak przeróżne, pocieszne figury dziewcząt, zawiniętych w grube chusty, że się same od nich uwolnić nie potrafią,— to chłopców, co się to wyślizgali po różnych kałużach zamarzniętych, a teraz co chwilkę krzypią: „a-hu, a-hu“, zapełniały izbę szkolną. Inaczej bywało w letnich miesiącach: dzieci byle czem odziane, bose, raźno wbiegały i zajmowały miejsca. Zawsze znać było biedę rodziców; była to wieś bowiem prawie czysto robotnicza, której ludność pracowała przez cały dzień w pobliskich fabrykach. Ta to nieszczęsna bieda naszej robotniczej warstwy wycisnęła swoje piętno i na dzieciach; po lichem śniadaniu przybywały do szkoły i, gdy żołądek dopominał się o swoje prawa, musiały ślęczeć nad książką, głodne i słabe. Rodzice z konieczności oddani całodziennej pracy poza domem, nie zajmowali się niemi wiele, — to też odrazu zauważyłem, że dziatwie brakuje podstawowego przygotowania do szkoły.

Z początkiem września przybyłem na pierwszą lekcyę religii. Nie znano mię tu jeszcze zupełnie, więc zainteresowanie moją osobą było duże. Przed szkołą zastałem kilkanaścioro dzieci, które mi się z ciekawością przypatrywały. Wszedłem do klasy, gdzie były zebrane najmniejsze z I. i II stopnia nauki, 6—9 letnie. Pięknie powstały przy mojem wejściu, a ja przywitałem je chrześcijańskiem pozdrowieniem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ Potem pacierz wspólnie odmówiony; po zapisaniu lekcyi do dziennika szkolnego wszedłem między ławki, aby się z dziećmi zapoznać. Pytam się któregoś: „jak ci na imię?“ „Jasiek“— odpowiada. „A jak się nazywasz?“ Nie wie chłopiec, kręci się, widocznie nie pytano się go o to; któreś ze starszych dzieci mówi jego nazwisko. Pouczam je więc, że każdy człowiek nosi imię i nazwisko, inaczej nie moglibyśmy się między sobą porozumiewać.

Idę dalej, poznaję nowe dzieci. Wracam do stołu i opowiadam im ten prześliczny szczegół z życia P. Jezusa — błogosławienie dzieci; rzucam przed ich oczy obraz następujący: „matki niosą na ręku lub prowadzą swój drobiazg do P. Jezusa, który na wzgórzu klęczy i modli się do Swego Ojca. Lecz Apostołowie lękając się przemęczenia Mistrza nie chcą gromady matek przepuścić ku P. Jezusowi: następują prośby, tłomaczenia, zamieszanie, — dzieci ujrzawszy znanego sobie Jezusa, rączki ku Niemu wyciągają, wyrywają się z okrzykami radości do Niego. Apostołowie jednak twardo odpowiadają: — dziś nie można —przyjdźcie kiedyindziej“. I wtedy na wzgórzu podnosi się klęcząca dotąd postać Chrystusa P., zbliża się ku rzeszy; na ten widok wzrasta zapał i uniesienie dzieci, setki dziecinnych usteczek woła radośnie, setki rączek klaszcze z uciechy. Uśmiech kochającego Serca zajaśniał na obliczu P. Jezusa, — padają poważne i stanowcze słowa: „Pozwólcie dziateczkom przyjść do mnie i nie zabraniajcie im, albowiem ich jest królestwo niebieskie!“ Ledwie pierwsze usłyszały słowa, już dzieci wytrzymać nie mogą, wyrywają się z objęć matek, biegną do miłośnika dzieci, który je przyjmuje, błogosławi, łaską darzy. Oto, kocham dzieci — mówię do nich — o tym dobrym P. Jezusie będę wam dużo pięknych rzeczy opowiadał. A wy, czy Go kochacie, czy modlicie się do Niego?“ Idę od ławki do ławki i dowiaduję się, kiedy i jaki pacierz mówią. Pokazuje sę jednak, że wiele dzieci ledwie się przeżegnać (i to źle) potrafi, inne ponadto coś nie coś pacierza, inne przyzwyczajone powtarzać za matką nie mogą same nawet zacząć.

Przykry ten szczegół nasunął mi pewne uwagi. Kogóż za to nieprzygotowanie dzieci winować? Oczywiście w pierwszym rzędzie matka jest obowiązana nauczyć dzieci pacierza, tego chyba nikt nie zaprzeczy. Zdarzyło mi się wprawdzie, że raz dziecko, któremu kazałem prosić matkę o nauczenie go pacierza, przyniosło mi odpowiedź matki: „ksiądz jest od tego w szkole, żeby was pacierza uczył“. Przypuszczam, że dziecko nie skłamało; zbyt małe było, by mogło tak wyrafinowane kłamstwo popełnić. Więc matka nie chciała dziecka uczyć pacierza, spychając ten obowiązek na księdza. Sądzę jednak, że takich matek chyba nie wiele; znaczna większość z nich uważa sobie to zą powinność macierzyńską i nawet prawdziwą radość otwierać serduszko swych dziatek do przyjęcia nauki o Bogu, uczyć je czci dla Stwórcy, modlitwy. Więc czemu tyle dzieci przychodzi do szkoły nieraz kompletnie prawie nie mających pojęcia o pacierzu, lub słabo go umiejących? Zdaje się, że w wielu wypadkach winne tu stosunki domowe, ot np. w owej wiosce, — taka matka wyszła rano z domu, przyszła na chwilę na obiad, a potem wieczorem, kiedy to tyle zajęć ją czeka, że czasem dopiero gdzieś koło 10 godziny mogła iść na spoczynek, by rano już może o 5 godzinie być na nogach. Ale, przecież zostaje jeszcze niedziela! W inych zaś wypadkach jest poprostu grzeszne lenistwo; są matki, które pamiętają o ubraniu, uczesaniu, umyciu dziecka, (chwali się im tę troskliwość), ale zapominają zupełnie o pacierzu dziecka. Obyż to matki nasze polskie pamiętały, że od nich w wielkiej części zależy charkter i całe życie dziecka! Oby pamiętały, że pierwszy obowiązek człowieka jest względem Boga i że dzieci do jego spełniania należy od wczesnej młodości zaprawiać! Ks. J. P.

Duchowieństwo a lud.

Czyta się dziś często i słyszy te słowa: „Księża idą z panami, nie trzymają z ludem“. Spróbujmy rozważnie zastanowić się nad tem. Zaznaczam tu jednak, że bronię ogółu duchowieństwa, nie jednostek, jednostki mogą się znaleść różne.

Aby księża szli z „panami“, musieliby mieć w tem jakiś interes, musiałaby być tego jakaś głębsza przyczyna. Takiej przyczyny zaś niema, owszem wszystko przemawia za tem, że ich serca są związane z ludem. Przecież duchowieństwo z ludu głównie pochodzi i to nietylko duchowieństwo niższe, ale i biskupi w znacznej części w chatach wieśniaczych i w izdebkach rzemieślniczych wzrośli. Między ludem oni mają swoich najdroższych: ojców, braci, krewnych, przyjaciół i rówieśników swej młodości. Czyż to możliwe więc, by przeciwko temu ludowi oni szli, gdy ich tyle węzłów i to najsilniejszych, bo węzłów krwi i wspomnień z lat dziecinnych z ludem wiąże? Chyba nie.

Iść przeciwko ludowi, nie leży także w ich interesie stanowym. Księża zdają sobie sprawę

należycie z tego, że większość ich parafian i to parafian najlepszych lud stanowi, mniejsza o to, czy to będzie lud miejski, czy wiejski. Prosty więc rozsądek każdemu księdzu mówi, by z tym ludem trzymał.

Nietylko jednak te względy niższe, te przyczyny czysto naturalne, to wyrachowanie, że tak powiem, każe księdzu po stronie ludu stawać, do tego zmusza go wprost i jego powołanie i nauka, którą głosi. Chrystus był największym miłośnikiem i obrońcą ludu, a kapłan to zastępca przecież Chrystusów i naśladowca Jego. Musi on, chce czy nie chce, względem ludu zająć to samo stanowisko, jakie zajmował Chrystus, musi zapatrywać się na lud i stawać w obronie tego ludu tak, jak zapatrywał się i jak stawał w obronie Chrystus. Nad program zaś Chrystusów programu korzystniejszego dla ludu niema.

Jeżeli rozpatrzymy się w wypadkach, ale bezstronnie i spokojnem okiem, jeżeli przebiegniemy myślą wieki ubiegłe i wglądniemy w czasy obecne, to zobaczymy, że kościół zawsze stawał i staje w obronie ludu, że były i są całe zastępy księży głośno i wyraźnie o prawa dla ludu upominających się. Wielką prawdę wypowiedział poseł Bojko, gdy w jednym z ostatnich numerów „Piasta" nazwał Skargę „pierwszym ludowcem" polskim. Tak ks. Skarga był pierwszym, ale i nie ostatnim — na setki i tysiące możnaby tych „ludowców" wymienić.

„Ludowość" nie ograniczyła się wcale do słów i haseł pięknych, ale przejawiła się i w czynie. Proszę przejechać naszą ziemię wszerz i wzdłuż i gdzie zobaczycie coś dobrego, gdzie znajdziecie świadomość narodową znaczną, gdzie ujrzycie kulturę i dobrobyt we wsi polskiej, zapytajcie się, komu to zawdzięczają — prawie zawsze słyszycie odpowiedź: „naszemu jegomości". Proszę przejrzeć stosy sprawozdań różnych czytelń, kółek, kas, organizacyi, instytucyi, pracujących dla dobra ludu, a wyczytacie tam nie przy jednem nazwisku pracownika i organizatora litery „ks". Piszący te słowa, spędził lata wojny na kresach, w obszarze kraju będącym widownią walk, okupacyi i innych utrapień i przypatrzył się dobrze i zrozumiał doskonale, że lepszego i bardziej oddanego sobie opiekuna lud nad księdza nie znajdzie. Wszyscy inni opiekunowie gdzieś się wtedy zapodzieli, ksiądz pozostał i ten ksiądz musiał wszystkich zastąpić, stawał się według słów św. Pawła naprawdę „wszystkiem dla wszystkich".

W pracy nad ludem nasi przeciwnicy nie przewyższają nas, przewyższają nas tylko w jednem — w obietnicach dla ludu czynionych. Tyle, co oni obiecują, my obiecać nie możemy, bo wprawdzie wiemy, że obietnica nic nie kosztuje, że to zwykle tylko „cacanka, a głupiemu radość", lecz my z drugiej strony rozumiemy znowu, że uczciwy człowiek tyle tylko obiecać może, ile spełnić potrafi — nam sumienie tumanić ludu nie pozwala. O słuszne prawa ludu walczyć i dla jego dobra pracować będziemy, ale nie ubóstwimy tego ludu nigdy i nieziszczalnemi nadziejami karmić go nie podejmujemy się.

Ks. Franciszek Błotnicki.

Do Braci Czytelników.

Po raz drugi już odzywam się do was za pośrednictwem tego ukochanego naszego pisemka „Polskiego Siewu". Zaraz na wstępie chcę was, kochani Bracia Czytelnicy, zachęcić do prenumerowania religijnych gazet i pism, a szczególnie tego ukochanego „Polskiego Siewu".

Obecnie sam byłem świadkiem jak wrogowie Kościoła wtykali i rozrzucali pomiędzy lud bezbożne pisma socyalistyczne.

Aż litość brała patrzeć na tych ciemnych ludzi, którzy myśląc, że to są gazety dobre, chętnie je rozchwytywali.

Tak-to wrogowie wiary św. nie żałują grosza na te bezbożne piśmidła, a my katolicy... tak nam trudno się zdobyć na te parę koron, żeby zaprenumerować jakie religijne pismo, lub poprzeć prasę katolicką. Na inne rzeczy to nam nie żal, pieniędzy, bez których to rzeczy wcale byśmy się obeszli. Kochani Bracia Czytelnicy! ustała już wojna światowa zewnętrzna, ale rozpoczęła się druga wojna jeszcze gorsza, wewnątrz państwa polskiego, wojna o zasady. W jednym obozie rozlega się hasło: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, a w drugim przeciwnym obozie rozbrzmiewa hasło: „Precz z Jezusem, precz z Kościołem, precz z księżmi! Sztandarem pierwszego obozu jest krzyż, a drugiego czerwona szmata.

Ty chłopie polski, tobie chcą dzisiaj wydrzeć tę św. wiarę ojców twoich, chcą ci podkopać zaufanie do duchowieństwa, bo widzą ci agitatorowie przewrotnych haseł, że póki chłop polski będzie miał wiarę w sercu i pójdzie razem ze swoimi przewodnikami duchownymi, to go wtenczas na żadne podstępne hasła nie zwerbują.

Katolicy! brońmy religii, bo tylko religia zdoła nas ochronić od przewrotu, brońmy religii, bo na religijnych tylko podstawach zbudujemy silną Ojczyznę.

Kochani Bracia Czytelnicy! Teraz kiedy Ojczyzna nasza zmartwychwstała do życia narodowego, powinniśmy i my Jej synowie zmartwychwstać do nowego życia opartego na zasadach religijno-moralnych. Kto tylko jest prawdziwym Polakiem nie powinien wierzyć agitatorom socyalistycznym, którzy podkopują religię a nazywają siebie patryotami. Już Waszyngton powiedział:

„Nie jest patryotą, kto podkopuje religię, ów potężny filar społeczeństwa“.

Precz z tymi, co odbierają nam wiarę i przywiązanie do Kościoła św. Chociażby oni udawali największych przyjaciół — są największymi wrogami ludu polskiego i Ojczyzny. Narodzie polski słyń z religijności, jak dawniej słynęli twoi przodkowie. Niech twoim sztandarem narodowym będzie sztandar biało-amarantowy z Białym Orłem po jednej stronie, a po drugiej z Obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej.

A teraz do was młodzi chciałbym się odezwać, bo wiem, że i wy to pisemko będziecie mieć w ręce. Chciałbym was zachęcić, żebyś kochana młodzieży była młodzieżą, jakiej się domaga Bóg i Ojczyzna. Przyszłością narodu i nadzieją — to młodzież. A jaką będzie młodzież taka i będzie przyszłość Polski.

W czasach tak poważnych dla narodu naszego, zwracam się do was rodzice, byście jak najlepiej wychowywali dzieci.

Kochana młodzieży! Dnia 4 marca przypada św. Kazimierza, królewicza polskiego. Otóż powinniście tego Kazimierza mieć za wzór i przykład brać z jego życia. Jakim on to był pokornym, czystym, nabożnym szczególnie do Najśw. Maryi Panny tak, że go nawet nazwano słowikiem Maryi, bo sam układał i śpiewał hymny na Jej cześć.

Nocą wyrywał się ukradkiem z sypialni i biegł do kaplicy zamkowej, tam noc spędzając przed obrazem Maryi.

Niestety, z bólem serca trzeba przyznać, że młodzież nasza wstydzi się nabożeństwa do Maryi.

Młodzieży! praktykuj cnoty, praktykuj nabożeństwo do Matki Boskiej, a będziesz młodzieżą, jakiej się domaga Bóg i Ojczyzna.

Aleksander Seweryn z Olkusza.

List z frontu ruskiego.

Uciekłem z Krakowa, bo nie mogłem patrzeć bez odrazy na tych obojętnych na świętą sprawę „spacerowiczów“ w mundurach oficerskich, brzęczących ostrogami po bruku miejskim. Nie mogłem już znieść coraz to nowych, płomienniejszych w treści ogłoszeń, rozlepianych po murach miasta. Owe plakaty staną się hańbą naszą, — płyną tygodnie, miesiące całe i nic, tylko odezwy nowe — a Lwów z wysiłku już kona, broniony przez dzieci i kobiety!

I tu, wśród szarej żołnierskiej braci na pozycyi nie bardzom się początkowo zachwycał — czytałem na ich twarzach zmęczenie i robak zwątpienia począł mi serce toczyć.

Ale dzięki Bogu omyliłem się srodze. Przyszła chwila stanowcza i rozwiała moje zwątpienie, a ducha natchnęła wielką wiarą i radością. Doszła nas hiobowa wieść o zdradzieckim napadzie Czechów na Śląsk. Nie robiono z tego żadnej tajemnicy, głosząc ją zaraz zebranej kompanii. Patrzyłem uważnie na żołnierzy, ciekaw, jakie uczyni na nich wrażenie ta wiadomość. Początkowo zaległa śmiertelna cisza — potem zazgrzytał pomruk gniewny — żołnierze ścisnęli silniej karabiny, popatrzyli sobie w oczy w jakiemś tajemnem porozumieniu i nagle krzyknęli razem, groźnie wznosząc w górę zaciśnięte pięście: na pohybel zdrajcom! śmierć przeklętym „pepikom“ — nie damy się, za nic nie oddamy Śląska!

Byli gotowi zaraz iść rozprawić się ze zdradzieckim wrogiem. Rozchodząc się do kwater śpiewali z mocą marsyliankę i Rotę. — Niedługo czekaliśmy na dowód ich męstwa, bo zaraz nazajutrz wczas rano dostaliśmy rozkaz wypędzić nieprzyjaciela z pobliskiej wsi. Szła wiara z uciechą, jak na wesele; w małych oddziałach otoczyliśmy ze wszystkich stron nieprzyjaciela, który widocznie był przygotowany na nasz atak, bo zbliżające się oddziały przyjął silnym ogniem karabinów maszynowych. Żołnierze nasi nauczeni już doświadczeniem, że hajdamaki nie tak celnie biją jak głośno, nie bardzo się zatrwożyli tym maszynowym rzegotem, natarli na wieś jak wicher ze wszystkich stron równocześnie — i w przeciągu pół godziny rozbili w puch silniejszego nieprzyjaciela, który zostawił wiele trupów i rannych, 50 zdrowych zabraliśmy do niewoli, prócz tego trzy karabiny maszynowe, konie i kuchnię. Zwycięstwo nasze było zupełne i tak pomyślne, żeśmy się sami dziwili — mieliśmy zaledwie trzech rannych. Nie pamiętam tak szalonego ataku. Był on tak wielki, że w czasie niego nie poznawałem swoich żołnierzy. Wydało mi się, że są to jacyś nowi rycerze, których zrodziła chwila dziejowa do zwycięstw i do pokrzepienia upadłych serc w narodzie. Miałem ochotę rzucić się do nóg tym podhalańskim bohaterom i dziękować im, że mi powrócili wiarę w siłę i moc narodu — o. zaprawdę oni mnie natchnęli wielką, niezachwianą wiarą, bo zaprawdę mając takich strażników na kresach — można z nadzieją spoglądać w przyszłość. To wielkie, bohaterskie, chłopskie serca, miłujące nadewszystko ziemię i biada temu, ktoby się pokusił najeżdżać spuściznę ich ojców — wtedy chłop nie zna granic w gniewie i bólu, zdolny wszystko poświęcić i w bohatera-pogromcę się przemienia, napluwszy tylko w garść, będzie prał bez litości obce plugastwa.

Kiedy porucznik ściskał twarde dłonie żołnierzy dziękując im za niesłychanie brawurowy atak, wtedy uniesieni zapałem, obnosili na rę-

kach swoich oficerów, prosząc, by ich prowadzić na Śląsk — obiecując sprawić porządne cięgi zdradliwym sąsiadom.

Na pozycyi, 27. stycznia 1919.

J. Massont, chorąży.

Pośmiertne wspomnienie.

We wsi Sułoszowie, powiecie Olkuskim, gub. Kieleckiej umarła Elżbieta Gorgoń, panna, tercyarka, lat 58. W tej wsi mieszkała 28 lat, utrzymywała się z pracy rąk, zawsze pamiętała o kościele, ołtarze żywymi kwiatami przyozdabiała, dwa razy była w Ziemi świętej, Jerozolimie i Rzymie. Cała wieś z dobroczynności, usługi w chorobie, pilnowaniu dzieci małych dobrze ją znała i odpłacała się za to wzajemnością. Dobrzy ludzie wspierali ją w potrzebie. Ostatnie miesiące leżała w szpitalu w Krakowie; kiedy czuła się coraz bardziej osłabioną, prosiła o odwiezienie do Sułoszowy i po pięciu tygodniach uciążliwej choroby w domu poczciwych gospodarzy Jana i Józefy Szańców oddała ducha Bogu. W Krakowie także miała swoich dobroczyńców. Pogrzeb odbył się przy licznem zgromadzeniu ludu, a nad grobem miejscowy proboszcz wygłosił podniosłą pogrzebową mowę, chwaląc zasługi i pobożne życie ś. p. zmarłej i zachęcał do wstępowania w jej ślady.

Prenumerator „Siewu polskiego".

Kto żyw między nami, kto wiarę katolicką szczerze kocha, ten niech popiera prasę katolicką. Być może, że wydawnictwa katolickie niekiedy pod niektórymi względami chromają, ale pamiętajmy, że gdyby miały więcej prenumeratorów i kupujących, w krótkim czasie przewyższyłyby inne. Od nas to samych zależy! Zresztą musimy się zgodzić na to, że prasa wolnomyślna wydaje się pozornie tak dobrze prowadzoną dlatego, że na zmysły działa, często szerzy sensacyjne wiadomości i mało krytycznego człowieka olśniewa. A są ludzie, którzy w tego rodzaju rzeczach mają upodobanie, bez oglądania się na zdrowie moralne i pożytek; a niemała też jest liczba i takich, którym błyskotliwy frazes imponuje ponad wszystko, bez względu na jego naukową nicość i wykazany niejednokrotnie brak wszelkiej wartości. Tego rodzaju pisma nie dla nas!

Popierajmy więc dobre gazety, przyjmujmy je jak miłego gościa pod naszą strzechę. Ze szczególniejszą radością witajmy w rodzinach naszych pisma o charakterze religijnym, aby one mogły w nas wzmacniać życie religijne i w oddawaniu należnej czci Bogu podtrzymywać.

Ks. Biskup Antoni Jul. Nowowiejski).

Zwiastowanie.

Nad obudzonej ziemi łonem
Dzwon bije głośno, bezustannie,
W powietrzu wiosną zbłękitnionem...
Anioł zwiastował Maryi Pannie.

W jasności cichej i radosnej
Topi się złotych wierzb pąkowie;
Pod lasem chodzą aniołowie,
Szukając pierwszych kwiatów wiosny.

Ponad zruszaną ziemię płynie
Odkupiejący wid Kalwaryi:
W cudu dziewiczych snów godzinie
Anioł zwiastował Pannie Maryi.

Bronisława Ostrowska.

Wychowanie dzieci a 7. przykazanie.

Szanować cudzą własność nakazał sam Pan Bóg, mówiąc: „Nie kradnij".

Jeżeli cię, drogi czytelniku, mało obchodzi przykazanie Boskie, (ale tego nie przypuszczamy nawet), to pamiętać musisz, że i twojej własności nikt nie będzie szanował, jeżeli ty po cudze ręce wyciągać będziesz — i nie będzie na świecie porządku ani zgodnego pożycia ludzi.

Wierzymy, że każdy ojciec i matka mają to silne przekonanie, iż cudzej własności nie wolno nigdy naruszać, że nie wolno kraść, oszukiwać, psuć i niszczyć cudzych rzeczy.

Ale chodzi także o to, aby rodzice to przekonanie wszczepili w dusze swych dzieci i aby je tak wychowali, by one nigdy nie sięgały po to, co cudze.

Aby dzieci przyzwyczaić do poszanowania cudzej własności, potrzeba:

Pierwsze, by rodzice nauczyli je szanować swoje.

Niech rodzice nie pozwalają dzieciom rzucać chleba niezjedzonego, niszczyć lekkomyślnie ubrania, łamać płotu przy domu, niszczyć gałęzi przy zrywaniu owocu, psuć książek. Przeciwnie, niech każą dzieciom zbierać pilnie szyszki po lesie i suche patyki na ogień (choćby im tego nie było potrzeba), zbierać kłosy po ścierniku, zbierać ziarnka fasoli, grzyby w lesie. Niech się przy ich domu nic nie marni. Zwykle tak bywa, że kto swoje szanuje, ten cudzego nie pożąda.

Drugie. Niech ojciec i matka czuwają nad tem, by sami dzieciom nie dawali sposobności do kradzieży.

Syn lub córka, którzy nie dostaną w domu jedzenia w swoim czasie, śniadania, obiadu, podwieczorku i wieczerzy, ale zawsze chodzą głodni, nauczą się paskudować, to jest, zaglądać do każdego garnka po kryjomu; zakradać się do komory, aby wziąć parę pieczarek, wypić nieco mleka, zjeść śmietany; przeszukiwać szafę i skrzynię, aby stamtąd wyjąć kawałek cukru, jabłko, cynamon.

Dzieciom należy w swoim czasie dać, co im się należy, a nie pozwalać na ogryzanie chleba, cukru, czy czego innego.

Nie trzeba też zostawiać pieniędzy w domu tak, by dzieci do nich miały przystęp, bo je będą brały i poniosą do sklepu na cukierki i łakocie.

Piszący te słowa uczy w szkole, przy której są sklepy. Otóż w czasie nauki zakupują dzieci codziennie w tych sklepach cukierków za kilka koron.

Wiem napewno, że połowa tych pieniędzy, to skradzione w domu z kieszeni ojca, matki, ze skrzyni, z sakiewki.

Co z takich dzieci wyrośnie?

Raz sklepikarz doniósł rodzicom, że ich córka kupiła w sklepie za 10 koron cukierków i pytał ich, czy wiedzą o tem. Zrobił bardzo dobrze (bo to nie był żyd). Tymczasem rodzice zamiast podziękować sklepikarzowi, że ich ostrzegł, pogniewali się, że ich córkę robi złodziejką, a oni przecież złodzieja w domu nie mają.

Ta córeczka jest już dziś na wydaniu, ale się nie poprawiła, lecz kradnie co może i komu może, a rodzice wszystko to starannie pokrywają, bo się boją, że się ich córka nie wyda, jeżeli wyjdzie na jaw, że to jest złodziejka.

Tu się pokazuje, że kto co sieje, to zbiera.

Raz było zaś tak.

W szkole ukradł chłopiec gąbkę.

Nauczyciel to wykrył i kazał jego matce przyjść do siebie. Matka przyszła, ale z pyskiem, że jej syna robi złodziejem. Zamiast podziękować nauczycielowi, syna przymusić, aby się przyznał, a gąbkę oddał lub zapłacił, ona syna wzięła w obronę i jeszcze nauczyciela wobec syna sponiewierała. Mało na tem. Udała się do przewodniczącego rady szkolnej na skargę i przyprowadziła chłopca (pewnie, aby się nauczył, jak się skarży). Wobec tego chłopca wygadywała na nauczyciela, nazywając go czerwonym psem, a słyszeć o tem nie chciała, aby się starała zmusić syna do przyznania się.

Jest temu lat sześć dopiero, a już dziś ten synek matce łzy wyciska.

W kwietniu jeszcze co o tem napiszemy.

Gdy się wątek urwie, każdy co ci sprzyjał,
Będzie twój dom, choć sucho, z daleka omijał.

— *X. Adam Naruszewicz.*

W ogrodzie Oliwnym.

Na wschód od Jerozolimy leży góra Oliwna, oddzielona od miasta doliną rzeczki Cedron. Góra to niezbyt wysoka. Nazwa jej pochodzi stąd, iż rosło na niej dużo drzew oliwnych. Dziś jeszcze można na jej zboczach widzieć drzewa oliwkowe. Na stoku tej góry od strony miasta leżał ogród Getsemani. Widać z niego było całą Jerozolimę. W ogrodzie tym było kilka jam, grot. Jedna z nich pozostała po dziś dzień — podobno ta, w której apostołowie spoczywali, pozostawieni przez Pana Jezusa u wejścia do ogrodu. Są tam dziś ołtarze, na których kapłani-pątnicy odprawiają mszę św. W ogrodzie tym rośnie także po dziś dzień kilka drzew oliwnych. Nie są to te same, pod któremi Pan Jezus klęczał i krwawo się pocił, ale z wszelkiem prawdopodobieństwem są to odrośla tamtych oliw. Na grzbiecie [illegible] setki lat. Stare, zgarbione, już spróchniałe, ciche i milczące, stoją w blaskach południowego słońca. Pielgrzym, jadący do Jerozolimy, kiedy zobaczy te drzewa, musi doznać ogromnego wstrząśnienia. Chciałby tak spytać się ich: „oto pod wami, w tem oto miejscu, konał Jezus Chrystus trzy godziny i zalewał się krwawym potem — o drzewa, powiedzcie, czy wy Go widziałyście?“. Podróżnik, gdy raz zobaczy te drzewa, nie zapomni ich już nigdy [illegible] ich zaniesie z sobą do grobu.

* * *

Niegdyś, niegdyś... będzie już temu [illegible] lat... był pamiętny wieczór Wielkiego Czwartku. Księżyc, jasny, seledynowy, palestyński księżyc rzucał na uliczki jerozolimskie smugi światła. Wnet przyszła noc, bo wieczory tam są nader krótkie, przyszła srebrzysta, wschodnia noc. Jedną z ulic kroczy dwunastu ludzi. Smętne ich twarze. Idą w stronę Cedronu i góry Oliwnej. Jeden z nich, do którego wszyscy odnoszą się z dziwnym szacunkiem, przystanął naraz i westchnął: „Smutna jest dusza moja aż do śmierci“. Głos mu drżał boleśnie, widać jakiś ciężar przygniata Mu Serce.

Doszli do ogrodu. Ośmiu z nich zostało przy wrotach wschodowych, trzech zabrał skarżący się mąż do ogrodu. Ale i tym kazał zostać na miejscu, sam zaś oddalił się od nich na jaki rzut kamieniem, tam właśnie, gdzie rosły drzewa oliwne, oblane księżycowem światłem. Ukląkł tam i zaczął się modlić. W twarzy jego maluje się przestrach, trwoga, zgroza. Twarz cała drga z przerażenia. Na rozmodlonych wargach wyciska wewnętrzny ból swoje piętno.

Cóż to za człowiek? Choćby to obcy był dla nas, jeżeli widzimy go w cierpieniach, współczujemy z nim razem i żal ściska nasze serca. Ale ten człowiek, to nie ktoś obcy, ale to nasz zna-

[ł]omy, nasz bliski, nasz Zbawiciel — Jezus Chrystus. To nasz Bóg. O zbliżmy się do Niego pod te oliwne drzewa, przypatrzmy się Jego męce, malującej się w zatrwożonej twarzy. To on za nas cierpi. To jest Bóg, sam we własnej drugiej osobie Bóg, ale to jest zarazem i człowiek. Teraz pod temi drzewami, gdy On tak drży i lęka się, prawie że Bóstwa Jego nie widać, a widać jeno ludzkie serce. Dlatego też nigdy może nie był On nam taki bliski, taki drogi, tak do nas podobny, taki nasz, jak teraz w tej chwili, kiedy się boi, lęka i drży ze strachu. Męka Pana Jezusa powoli przeszła w konanie, trwające całe trzy godziny.

Dlaczego Chrystus się trwożył i to tak wielce, że ta trwoga jego przerodziła się w śmiertelne konanie? Św. Alfons Ligouri zauważa, że były tego trzy przyczyny. Naprzód widział Pan Jezus całą swoją straszną śmierć i, jako człowiek, drżał przed nią. Potem widział, że mimo Jego katuszy, wiele dusz pójdzie na zatracenie do piekła — i ból Go zdejmował, że dla tak wielu ludzi krzyż Jego będzie daremny. Wreszcie stanęły mu przed oczyma wszystkie grzechy całego świata, wszystkie obrazy Boskie, jakich dopuszczać się będą ludzie pomimo Jego męki.

Lękał się Pan Jezus strasznych męczarni, przez jakie miał przejść. Widział, że każdy zmysł Jego i każdy członek poniesie osobną mękę, że ciało krwią spłynie pod batami, że głowę Jego obwiedzie cierniowa korona, ręce i nogi przebiją gwoździe, że Mu twarz żołdacy oplują i że Go policzkować będą. Widział dobrze, że stanie się, jako „trędowaty, a od Boga ubity i poniżony“, że będzie jako „mąż boleści“ i „wielkie jako morze będzie skruszenie Jego“. Widział, że spadną niejako na Niego wszystkie „nawałnice Boże“. W takich mękach i trwogach upłynęła pierwsza godzina. Zachwiał się Jezus, przeraził się męki. Wzniósł tedy oczy i ręce ku niebu i błagając głośno zawołał: „Ojcze, niechaj odejdzie odemnie ten kielich męki“, niechaj Ja nie cierpię, odsuń odemnie ten krzyż, Ja się boję tej okrutnej śmierci... Ale wnet wrócił do równowagi i spokojniej już dodał: Ale niech się stanie Twoja wola, niech się stanie tak, jak Ty chcesz, nie tak, jako Ja.

O, pamiętajmyż przez czas wielkiego postu, co Pan Jezus cierpiał dla nas w ogrojcu. Postanówmy sobie, że mu za to wynagradzać będziemy — a w jaki sposób? w taki, że Go kochać będziemy szczerze, że zawsze będziemy dobrymi katolikami, sługami Chrystusa, przywiązanymi do św. Kościoła. Niech Pan Jezus dla nas będzie początkiem i końcem, to jest wszystkiem.

Przeszła pierwsza godzina konania w Ogrojcu, zaczęła się druga. Myśl o cierpieniach, mających spaść na Jezusa za chwil kilka, widok tych cierpień był tem boleśniejszy i wstrętniejszy, że Serce Zbawiciela opanowała świadomość, iż męka Jego krzyżowa będzie dla wielkiej liczby dusz bezowocną, że pomimo Jego cierpień tak wielka liczba ludzi się potępi na wieki. A On przecież przyszedł dla ich zbawienia i w tym celu tę mękę teraz rozpoczął! „I cóż za pożytek ze krwi mojej?“ Na co się przyda ofiara mego życia? Ja oto idę na krzyż, a tylu ludzi będzie, co nie wspomną o krzyżu, a nawet mieć go będą w pogardzie? Z jednej strony całe morze boleści, wzgardy i wylana krew, a z drugiej tak mały owoc tego wszystkiego, tak szczupła garstka zbawionych? I to właśnie, ta myśl była kielichem goryczy, który Jezus spełnić musiał. Przeraził się tego kielicha, nieopisany strach przed krzyżem ogarnął Jego Serce. Z wyrazem przerażenia i niechęci wzniósł ręce ku niebu, potem rzucił się na ziemię i wołał: „Ojcze mój, jeśli możliwa rzecz, niechaj odejdzie odemnie ten kielich“. — Lecz w tej samej chwili wstąpiła w Jego duszę rezygnacya, bo uniżył się i ciszej dodał: ale niech się stanie nie jako Ja chcę, ale jako Ty.

Pragnie Chrystus zbawienia dla wszystkich i cierpi, gdy widzi, że tego zbawienia tylu nie osiągnie. I my pragniemy zbawienia — zbawienia dla siebie i dla drugich. Sami zbawienie osiągniemy, jeśli będziemy szanować wiarę Jezusową i pełnić Boże przykazania. Musimy jednak także modlić się o zbawienie, bo słusznie ktoś powiedział, że zbawienie duszy jest tak wielką łaską, iż osiągnąć ją można tylko przez modlitwę. Módlmy się także za drugimi, aby i ich Pan Bóg doprowadził do nieba.

Przeszła druga godzina konania, zaczęła się trzecia. Męka się jeszcze wzmogła. Oto stanęły Panu Jezusowi przed oczyma wszystkie grzechy świata. Wszystkie zniewagi Bogu wyrządzone, wszystek upór ludzki i zakamieniałość w złem poprzez wszystkie wieki, cudzołóstwa, pijaństwa, kradzieże, kłamstwa, oszczerstwa, nienawiści — wszystko to spiętrzyło się przed Jezusem i zwaliło Go z nóg na ziemię. On przecie przyszedł na świat dla tej męki, lecz ta męka Jego powinnaby świat odrodzić i zgładzić grzech z powierzchni ziemi, a tymczasem grzechy i nadal trwać będą! I pocóż tu umierać, poco taki ogrom bólu i cierpienia? Nie, nie, lepiej nie iść na krzyż, lepiej nie cierpieć i takim bólem udręczony znów zawołał Jezus: „Ojcze, zmiłuj się, niechaj odejdzie ten kielich odemnie“. Lecz po chwili znowu dodał: „Ale niech się stanie wola Twoja“. Niewdzięczność ludzka, którą w tej chwili widział, dobiła Go. Serce mu się ścisnęło, upadł twarzą na ziemię, zemdlał, a na twarzy ukazała się krew, krople krwawego potu, ociekały po twarzy i spadały na ubranie i na ziemię.

Wpatrzmy się w to konanie Jezusa. On kona za nasze grzechy. To dostateczny powód, aby znienawidzieć grzech. Dzisiaj ludzie grzech sobie

za nic mają. Ludzie dziś są pod względem religijnym bardzo płytcy, nieuświadomieni. My przynajmniej, co Jezusa znamy lepiej, unikajmy grzechu. Miejmy to przekonanie, że grzech jest czemś istotnie złem, czemś, czego my tak zupełnie nie pojmujemy, ale co jest wstrętne i podłe. Uważajmy grzech za prawdziwe nieszczęście. Niechaj trzecia godzina męki ogrojcowej ten skutek osiągnie, że wypowiemy grzechowi walkę.

Co się stało dalej, gdy Pan Jezus upadł zemdlony na ziemię i oblał się krwawym potem? Oto anioł zleciał z nieba i pocieszał Go. Przyniósł ulgę Jego zmękanemu Sercu. Niebawem potem przyszedł Judasz z rotą żołnierzy i Pan Jezus został pojmany.

Chcielibyśmy na końcu zwrócić uwagę na ten piękny szczegół Ogrojca, że anioł zjawia się przed Jezusem i przynosi Mu pocieszenie. Możemy tutaj przeprowadzić pewne porównanie. I my kiedyś będziemy mieć swój ogrojec i swój krzyż. Borykać się będziemy z sobą i z drugiemi, wiele znosić, wiele wycierpieć. W bólach i niedoli powinniśmy i my podnosić ręce ku niebu i wołać: „Ojcze oddal kielich tej męki od nas!“ — zawsze jednak dodajmy następnie: „Ale niech się stanie Twoja wola, a nie wola nasza“. Jeśli tak postępować będziemy, doczekamy się tego, że i po naszej męce zleci anioł Boży ku nam i da nam pocieszenie. Może to nie będzie anioł widzialny, taki jak w Ogrojcu, ale będzie to łaska Boża, dodająca nam siły i przynosząca otuchę i pociechę. Bo Bóg nas nigdy opuścić nie może, osobliwie wtedy, gdy cierpieć będziemy. Znośmy krzyż swój tak, jak Jezus Chrystus, a przekonamy się, że mimo bólu i wielkiego cierpienia nie zniknie z duszy naszej to, co nazywamy szczęściem.

(s.)

Marysia.

Dźwięczny, uroczysty śpiew słychać było w szkole. Były to dzieci przygotowujące się do pierwszej Komunii, które uczyły się pieśni zaczynającej się od słów P. Jezusa: „Pozwólcie dziateczkom przychodzić do mnie“. Każde słowo tej pieśni słychać było w ubogiej izdebce, gdzie przed wysokim, barczystym mężczyzną stała staruszka, ręce załamując i płacząc.

— Miejcie litość nad duszą niewinną — poszlijcie ją gdzieindziej.

— Nie! właśnie dla siebie ją zachowam, rzekł mężczyzna. Moje gospodarstwo także potrzebuje ludzi, a Marysia bardzo będzie dobra. Już dosyć długo musiałem być opiekunem za darmo, teraz, gdy mogę mieć korzyść z dziewczyny, chcę korzystać z mego prawa.

Biedna kobieta zaczęła szlochać.

— Dla miłości Bożej, dajcie się wzruszyć! błagała. Czyż ma niewinna Marysia, najlepsze dziecko w całej parafii, za kilka lat marnie zginąć? Czyż wy jako opiekun, nie boicie się grzechu i strasznej przed Bogiem odpowiedzialności?

— Co tam odpowiedzialność i grzech! — wrzasnął rozgniewany gospodarz. — Już dosyć gadania! Mój dom jest uczciwy; ja także tam żyję i znam swoje obowiązki. W poniedziałek po przewodniej niedzieli przyjdzie Marysia do mnie, jako kelnerka i basta!

Trzasnął drzwiami i poszedł.

Nieutulona w żalu kobieta, wyciągnęła obie ręce ku niebu i rzekła:

— O Boże, dozwól jej raczej umrzeć, niż wejść w ten dom! W imieniu jej matki nieboszczki proszę Cię o to!

Marysia tymczasem siedziała w szkole i z wytężoną uwagą słuchała nauk kapłana, który ostatnich kilka dni przed Komunią z osobliwszą gorliwością przygotowywał dzieci do tego tak ważnego i świętego aktu.

— Niewinność — mówił — jest najdroższym skarbem i źródłem cnoty i wesela. Zachowajcie niewinność dziecięcą, a nigdy wam nie będzie zbywało ani na miłości, ani na nadziei, ani na weselu. Czystemu człowiekowi zawsze się szczęście uśmiecha, Bóg w nim mieszka, a niebo jest jego dziedzictwem. Czystość jest najdroższym klejnotem, który zdobi człowieka. Tę cnotę Pan Jezus ceni wyżej jak inne; ona jest lilią w ogrodzie Kościoła. O dziatki, zostańcie czystemi, grzecznemi i niewinnemi i przyrzeknijcie raczej umrzeć, jak co złego popełnić.

Tak upominał kapłan dziatki. Oczy ich pełne wyrazu świadczyły, że ziarno na miękką i pulchną glebę padło. Osobliwie zaś Marysia aż do głębi była przejętą.

Choć miała dopiero lat 14, nie miała ani ojca, ani matki. Pewnego dnia oddano ją starej kobiecie, by ją pielęgnowała; u tej więc wyrosła, a niestrudzonej staranności jej trzeba zawdzięczać, że Marysia przezwyciężywszy upór i skłonność do zmysłowości, stała się najlepszą uczennicą. Za kilka dni miała się przenieść do gospody swego opiekuna, a tym sposobem usunąć się z pod troskliwych rąk swej przybranej matki. Co to znaczyło dla młodej dziewczyny, wiedział każdy, kto znał miasteczko. O złych mowach i przykładach, jakie słyszeć i widzieć musiała, i o niebezpieczeństwie jakie jej groziło, nie myślał łakomy szynkarz, gdyż dawno już poczucie złego był stracił, podobnie jak większa część jego gości.

W kilka minut po szkole, powróciła Marysia do domu. Ani jej przez myśl nie przeszło, jakie nieszczęście ją ma spotkać, a poczciwa staruszka postanowiła sobie, ani słówkiem nie wspominać jej o niczem przed pierwszą Komunią, aby dzień ten spędziła bez smutku; dopiero nazajutrz po Komunii chciała jej całą rzecz wyjawić. Tymczasem postanowiła sobie modlić się z całego serca, aby ta sprawa inny obrót wzięła.

— Czy pozwoli mi babcia jeszcze pójść do kościoła? prosiła Marysia. Chciałabym się jeszcze pomodlić, bo jutro spowiedź generalna.

I owszem moje dziecię, idź i módl się gorąco za siebie.

Nazajutrz popołudniu — była to sobota — spowiadała się, a w niedzielę miała przystąpić do pierwszej Komunii. W sobotę było parno i duszno, słońce przypiekało mocno. A na niebie czarne chmury się gromadziły, burza groziła.

— O jakąż radość mam w sercu! Jakże mi lekko! zawołała.

Zciemniło się nagle! Błysło — grom uderzył, a potem ulewa nastąpiła. Drzwi się otworzyły, a żona szynkarza nagle wpadła z wielkim parasolem.

— Maryś, biegnij czemprędzej do lasu, mąż mój poszedł do lasu bez parasola! spiesz się!

Szybko pobiegła Marysia, pomimo ulewy, do lasu. Nawet gradem zaczęło sypać. Za pół godziny była w lesie — pot strumieniem spływał jej po czole.

— Bogu dzięki, że przychodzisz poczciwa Marysiu! — zawołał szynkarz, który się ukrył w gęstwinie; — do lasu biegłaś, ale nazad nie pójdzie tak prędko, ja nie mogę tak szybko biegać.

Szli tedy powoli. Tymczasem powietrze się bardzo oziębiło. Marysia spocona drżała od zimna. Wtem wiatr silny zerwał szynkarzowi kapelusz i rzucił go do rwącego strumienia. Marysia zdjęła czemprędzej chustkę z szyi i podała ją opiekunowi, by sobie głowę obwiązał, — wszak tu nikt nie widzi — mówiła — a pode wsią zdejmiecie.

— Tyś mądre i dobre dziecko — rzekł opiekun uradowany, wziął chustkę i obwiązał sobie nią głowę. Oziębiło się jeszcze bardziej, już deszcz zaczął się w śnieg zamieniać. Marysia pobladła i drżała od zimna. Przedtem się zgrzała, teraz musiała iść krokiem obok opiekuna wśród mroźnego wiatru.

Nareszcie po trzech kwadransach byli we wsi. Marysia spiesznie pobiegła do babki. Blada i drżąca od zimna stanęła przed babką, tak iż ta się przelękła.

— Prędko napij się herbaty i połóż się, rzekła.

Nazajutrz w przewodnią niedzielę, zabłysło słońce wesoło, a Marysia już raniutko wstała i długo się modliła, nie mogąc się doczekać chwili, kiedy P. Jezus do jej serca zawita.

— Dziecko, jak ty blado wyglądasz — zawołała babka zakłopotana.

— O babciu, mnie tak lekko i dobrze, jak gdybym szła do nieba!

Poszły do kościoła. Wszyscy spostrzegli, że Marysia, tak kwitnąca i zdrowa, dziś tak blada i prawie niebieskie ma usta. Ale gdy przystąpiła do Komunii św., nagle jej oblicze się zarumieniło i zapłonęło miłością.

Lecz popołudniu już nie przyszła do kościoła. Straszne febry dostała. Nazajutrz oświadczył lekarz, że Marysia żyć nie będzie.

Staruszka łzawe oko podniosła ku niebu.

— Mój Boże! jeźli ją tak chcesz ocalić od niebezpieczeństwa — niech się dzieje wola Twoja — szeptała.

Marysia majaczyła w gorączce. Nagle obudziła się, spojrzała na babkę i zapytała.

— Babciu, czy ja muszę umierać?

— Czemu, dziecię?

— Bo ja tak myślę — odrzekło dziecko. — Patrz kochana babciu, terazbym się wcale nie bała śmierci. Gdyby ks. proboszcz przyszedł i powiedział: Jeszcze dziś musisz umrzeć, tobym odpowiedziała: Bardzo, bardzo chętnie, jeźli tak P. Bóg chce. Takby mi szło lekko, nic się nie boję. Wszak P. Jezus jest tam w niebie, a skoro umrę, zaraz do Niego pójdę. O, Jego się nie boję, nie, cieszyłabym się, gdybym Go mogła zaraz obaczyć, a Onby mnie musiał do swego nieba wprowadzić. O, wtenczasbym go zawsze kochała.

— A więc, dziecko słuchaj, ty musisz umierać.

— Czy doprawdy? Czy istotnie tak jest? Zapytała Marysia, rumieniąc się z radości.

Złożyła ręce i rzekła:

— Kiedy tak, to idźcie zaraz do księdza proboszcza, aby mnie zaopatrzył.

Marysia przyjęła Ostatnie Namaszczenie spokojnie i z radością. Potem usnęła i we śnie śpiewała pieśń dzieci, przystępujących do pierwszej Komunii.

— Babciu, rzekła, zbudziwszy się.

— Co, moje dziecko?

— Powiedz im, niech tę pieśń śpiewają na moim pogrzebie.

— Dobrze, powiem.

— A ksiądz proboszcz niech o tem ma kazanie; ja z nieba będę słuchała, co on mówi.

Oblicze Marysi zajaśniało — wyciągła ramiona. — O babciu, jak pięknie! jak pięknie! — zawołała głosem złamanym.

Opuściła ręce, głowa jej zwisła na bok, Marysia umarła.

Po dwu dniach niesiono Marysię do grobu.

Sześć uczennic w bieli niosło trumnę — a gdy ją spuszczano do grobu, z piersi niewinnych dziatek zabrzmiała pieśń: Dopuście dziateczkom przychodzić do mnie.

X. Kazimierz Riedl T. J.

Staruszka.

Na schodach jednego domu, siedziała stara kobieta, tak żółta, zgarbiona i chuda, iż tylko powieści o wróżkach malują takie babulki. Nadeszła jakaś pani i długo przypatrywała się tej kobiecie. Spostrzegły to inne wieśniaczki, więc zbliżyły się i rzekły: „To jest Hanna. Ma już ze sto lat".

Zaciekawiona pani, rozpoczęła dłuższą rozmowę z półgłuchą już staruszką, patrząc na nią, jak na sztandar zbutwiały, który przetrwał już burze i zmiany losu. W rozmowie widząc, że jej z chłodu drżą ręce, chciała jej dać co zjeść i zaprosiła ją do siebie. Staruszka jednak uczyniła znak głową, że nie chce jeść.

— Ona jeść nie będzie, bo dzisiaj piątek — rzekła jedna z wieśniaczek.

— I my dziś mięsa nie jemy — odpowiedziała pani. Dam jej kaszy .

— I tego jeść nie będzie — przerwała wieśniacka.

— To ryby ?

— Ani ryb.

— To kawy ze śmietanką ?

— I tego nie.

— Więc herbaty ?

— I tego nie będzie — rzekła znowu wieśniaczka. — Ona dziś nic nie je.

— Jakto ? zupełnie nic ?

— Nic. Robi to już od lat sześćdziesięciu.

— Od lat 60-ciu! — powtórzyła pani, niedowierzając swoim uszom. A zwróciwszy się do dziwnej staruszki: Jakże możesz tak żyć ? — spytała ze zdziwieniem.

Staruszka podniosła swe zapadłe powieki, w martwych jej oczach coś zabłysło, a w głosie brzmiała najsilniejsza wiara: Pan Jezus daje sił — odpowiedziała.

Skończyło się to wszystko na tem, że zdumiona pani, wzięła staruszkę do siebie i utrzymywała ją aż do śmierci.

Ile razy ją spytała, czy jej czego nie brak, staruszka odpowiedziała, że jej niczego nie trzeba.

Jeden jedyny raz tylko wyraziła skromne życzenie, żeby jej sprawiono ubiór śmiertelny do trumny.

Ś. J.

Proroctwo poety.

Jeden z największych poetów polskich, Juliusz Słowacki, napisał wspaniały i przecudowny utwór pt. „Anhelli". Już 90 lat dobiega od czasu, jak ten utwór powstał. Znajduje się tam w jednem miejscu wzmianka o królach i cesarzach, straszliwa w grozie swojej. Słowacki jakby widział nasze czasy, bo oto, co pisze:

„Oto zmartwychwstają narody! Oto z trupów są bruki miast! Oto lud przeważa!

Nad krwawemi rzekami i na krużgankach pałacowych stoją bladzi królowie, trzymając szaty na piersiach szkarłatne, aby zakryć piersi przed kulą świszczącą i przed wichrem zemsty ludzkiej.

Korony ich ulatują z głów, jak orły niebieskie i czaszki królów są odkryte.

Bóg rzuca pioruny na głowy siwe i na obnażone z koron czoła".

Zaiste, było to jasnowidzenie, które się spełniło w naszych oczach.

Skarga na powszechną bezbożność i skażenie obyczajów.

Rzecze głupi w sercu swem: Niemasz Boga! Sprośnymi i plugawymi stali się oni w uczynkach swych: niemasz, ktoby czynił dobrze, niemasz ani jednego.

2. Patrzy Pan z nieba na synów ludzkich: aby obaczył, jest-li kto rozumny, albo szukający Boga.

3. Odstąpili wszyscy, zmarnieli pospołu: niemasz, ktoby czynił dobrze, niemasz ani jednego.

Grób otwarty gardło ich: języka swego używają ku zdradzie. Jad żmijowy pod wargami ich. Usta ich pełne przekleństwa i goryczy. Nogi ich skore ku wylaniu krwi. Spustoszenie i zagłada na drogach ich, a drogi pokoju nie znają oni; niemasz bojaźni Bożej przed oczyma ich.

4. Czyż się nie nauczą rozumu wszyscy broiący nieprawość, którzy pożerają lud mój jako chleb?

5. Pana nie wzywają: drżą od strachu tam, gdzie strachu niema.

6. Bo Pan przebywa w rodzie sprawiedliwych: zamiary biednego naprożno w niwecz obrócić chcecie: albowiem Pan jest nadzieja jego.

7. Oby przyszła Izraelowi pomoc z Syonu! gdy powróci Pan lud swój z niewoli, rozweseli się Jakób, i rozraduje się Izrael.

(„Psałterz Dawidowy" w tłom. ks. arbp. Symona).

Czy zapisałeś się już do „Towarzystwa popierania prasy i wydawnictw katolickich"? Możesz to uczynić, przesyłając wkładkę roczną 2 korony pod adresem biura „Tow. pop. prasy katol.", Kraków. plac Marvacki l. 2.

WYDAWCA KS. LUDWIK KASPRZYK. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KS. ST. SAPIŃSKI.

Drukarnia „Głosu Narodu" w Krakowie.